

# WIECZORY RODZINNE

## Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Adres Redakcji Warszawa, ul. Trębacka 11.

### WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie: rocz. rb. 4, półrocz. rb. 2, kwart. rb. 1. z dodatkami rocz. 6.40, półrocz. 3.20, kwart. 1.60. Za odnoszenie dopłaca się 10 kop. kwartalnie. Z przesyłką pocztową w granicach państwa: rocz. rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50, kwart. rb. 1 kop. 25.

Z dodat. rocz. 7.40, półrocz. 3.70, kwart. 1.80.  
Za granicą: w Austrii 14 kor., z dodat. 21 kor. rocz. W Niemczech 12 m. z dodat. 19 m. rocz.

### WARUNKI OGŁOSZEŃ:

2 i 3 strona wiersz 1 szp. k. 20  
w tekście nadesłane „ „ „ 50

Prenumeratę najlepiej nadsyłać pocztą wprost do Administracji Krakowskiej - Przedmieście 64 w Warszawie księgarnia „Polaka - Katolika“.

Można jeszcze opłacać „Wieczory Rodzinne za kwartał I.

### TREŚĆ NUMERU:

Polowanie, przez Z. Morawską.

Matka. (Kalina).

Krzemieniec, przez Kazimierza Rydzewskiego (z 3 ryc.)

Nigdy, przez Z. Morawską.

Nad Żłotym Rogiem, przez Stanisława Belzę (z 1 ryc.)

Ruiny zamku w Ogrodzieńcu (z 2 ryc).

Jak Janek i Maryla spędzili wakacje, p. Ciembroniewiczza.

Tajemnica starego zamczyska, przez Koneczną.

Skrzynka do listów.

### DZIAŁ DLA DZIECI:

Bogactwo kraju.

Boruta, przez Marię Kaczkowską.

Wróć wiosno.

O dwunastu zbójcach i nabożnym kmiotku.

W obawie śmieszności, przez Świerszcza.



### Revolucja.

W Rzeczpospolitej Meksykańskiej rosło od pewnego czasu żywe niezadowolenie z rządów prezydenta Madery i Ministrów będących u steru państwa. Stronnictwa przeciwne pozyskały sobie pomoc wojskowej załogi cytadeli pod wodzem Diazem i wszczęły najpierw walki uliczne, a następnie formalny rokosz. Bombardowano miasto Meksyk; artylerja czyniła straszne spustoszenia, prezydent oblegał cytadelę; w paru dniach zginęło kilka tysięcy osób (nie licząc wojska) a 2,600 otrzymało ciężkie rany. Stany Zjednoczone i Francja wysłały 6 okrętów wojennych i 6,000 żołnierzy, dla zabezpieczenia mieszkańców, i poselstw zagranicznych. Ostatecznie, partja rewolucyjna zwyciężyła; Madero został aresztowanym i musiał ustąpić ze stanowiska, wraz z całym składem rządu, a na jego miejsce wybrano Huertę, którego zapewne uznają też i inne mocarstwa. Stolica przedstawia straszny obraz zniszczenia, domy i gmachy publiczne leżą w gruzach; wypuszczeni z więzień i uzbrojeni przestępcy bili się wespół z rokoszanami, pałac przytem i rabując co się dało. Nieprędko zapewne spokój i porządek będą tam przywrócone.

### Wynalazek.

Pisma europejskie podały niedawno wiadomość o wynalezieniu przez Edisona t. z. „kinetofonu“, przyrządu, który oprócz udoskonalonych świetlnych obrazów, wydaje dźwięki odpowiednie do treści przedmiotu i akcji na ekranie. I znowu okazuje się, że polak uprzedził rozwiązanie tego trudnego zadania, a jest nim p. K. Prószyński, syn Promyka, twórca najlepszego na świecie elementarza i krzewiciela oświaty między ludem. Jeszcze w roku zeszłym pan Prószyński urządził w Londynie pokazy próbne rezultatu swoich dociekań, aparaty kinematograficzne bez drgania, z rozmową, dźwiękami i t. p. Ci, co widzieli te próby, piszą, „że złudzenie było zupełne; mogliśmy sądzić, iż występujące osoby odgrywają sceny rzeczywiście, mówiąc lub śpiewając wedle potrzeby w połączeniu i na tle muzyki, czem kierował sam wynalazca. W chwilach rozmowy dźwięki cichły a w zamian wygłaszana rola nabierała większej wyrazistości, znakomicie przez artystów odtworzona“. Wkrótce kinetofon p. Prószyńskiego będzie dostępnym dla szerszego ogółu, i do nas prawdopodobnie zawita, jak tylko zorganizuje się towarzystwo przedsiębiorców, i ukończą prace przygotowawcze.



## W WIEDEŃSKIM BURGU.

Franz-Joseph. — Czuć proch. w powietrzu! Ferdziu, czyś ty gotów?

Następca tronu. — Do ostatniego guzika. Nawet mój najmłodszy jest tak krigsbereit, że może choć dziś iść za Wisłę lub za Dunaj!

(Marchońt).

### NIE KONTENT.

- Pański syn gdzie, panie Aronie?
- W Lipsku, w akademji handlowej?
- Kontent pan?
- Nie! Oni nie są przygotowani na warszawskie stosunki bojkotowe; tam nie przechodzą wcale kursu bankructwa.

### SZKODA DROGI.

- Jadę w Poznańskie! Chciałbym zobaczyć, jak się to wywłaszcza.
- Szkada drogi. Idź w nocy na szosę wolską masz to samo.

(Marchońt).

## Zadania i łamigłówki.

### SZARADA.

ułożyła Emilja Rychter.

U „pani Stefy“ urwanie głowy,  
Gdyż *pierwsze trzecie* wielkie w robocie;  
*Drugie* się pilnie wciąż do połowy,  
Czerwona cała i cała w pocie...

Jej *pierwsza pierwsza* jakaś w rodzinie  
Przepracowała życie w ten sposób;  
Lecz „Pani Stefie“ to życie płynie  
*Trzecie* dla obcych pracując osób...

Pieniądzy *trzecie pierwsze* i *drugie*;  
*Trzecie* i *trzecie*; to rzecz Józefa;  
Jest sobie „panią“, ma nawet „sługie“,  
A mąż da wszystko, czego chce Stefa.

Ma święte życie! dziś, ot, tak sobie  
Jęta się pracy po dobrej woli...  
*Pierwsze* i *drugie* ulżyć wątrobie,  
Gdyż od próżniactwa chyba ją bol.

Mądra kobieta; wie że przy trudzie  
*Wszystko* do jadła, czy do napoju,  
Nawet dla serca zyskują ludzie.  
*Wszystko* więc pragnie znaleźć po znoju...

### OD ADMINISTRACJI.

Prosimy naszych Czytelników — aby  
wnieśli prenumeratę zaległą. W tym celu za-  
łączamy przekazy pocztowe.

Mamy nadzieję, że nie doznamy zawo-  
du, pieniądze bowiem są nam bardzo po-  
trzebne.

### PODRĘCZNY

## Atlas zoologiczny

Nakładem T-wa „Świt“.

Część pierwsza  
„ druga

zwierzęta ssące  
ptaki.

Cena jednej części 2 rb.

Do nabycia w księgarni „Polaka-Katolika“  
Krak.-Przedm. 64.

# Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

## POLOWANIE.

Mkną sanie, mkną sanie  
Po białym śniegu;  
Słychać trąbki granie  
Na lasów brzegu.  
Słychać psów skowyty  
I cicho znowu.  
Leśnik z bronią skryty  
Około rowu.

Usłyszał psów grania  
I zwinął się w kłąb.  
Zwierza ani oko  
Więc myśliwi źli,  
Chociaż tam, wysoko  
Jasne słońce tli.  
W najgorszym humorze  
Wracają do sań;

A myśliwi z sani  
Rażno wyskoczą,  
Myśląc o tej łani,  
Co ją dziś zoczą.  
— Dobry dziś dzień będzie!  
Mówią myśliwi.  
— Zwierza jest dość wszędzie  
Las się ożywi.  
Zwierz zląkły, skulony  
Siedzi w swej kniei,  
I z gąszczów zasłony  
Kpi z dobrodziei.  
Jelenie i sarny,  
Ukryły się w śnieg,  
By żywot ten marny  
Łatwiej im zbiegł.  
I dzik się też trzyma  
W chruścianej chacie,  
Tuż u stóp olbrzyma,  
Co w majestacie  
Jak król lasów strzeże  
Stary, wielki dąb  
W opiekę bierze  
Lasów cały głąb!

A i zajęc szary,  
Ani wyjrzy też,  
Choć jest małej miary  
Ten płochliwy zwierz.  
Nie jadł dziś śniadania  
I chciał wyjść na zgrab,

A zwierz dziki w borze,  
Zaraz poszedł w 'an,  
I skacząc radośnie,  
Porykuje w ziąb,  
Że im tak donośnie  
Zagrano z swych trąb.

Z. Morawska.



W. Ks. Poznańskie. Bamberki z Jeżyc.

# MATKA.

KALINA.

Cześć ci, kobieto, cześć ci ocalona  
 Z zatrutej toni współczesnego życia...  
 Cześć ci, orlico! Tobie antyfona,  
 Boś ty tytanów mur nie do rozbicia,  
 Bo nim złowroga hydra cię pokona,  
 Nim rak rozpleni chciwe strzepy gnicia,  
 Groźna i silna bólem, nad czeladką,  
 W skrzydła ją tulisz... Cześć ci, cześć, o matko!

\* \* \*

Matce śmierć dziecko z kołyski porwała. Matka, zrozpaczona, wybiegła na drogę za szczęściem swoim, za skarbem!..

Biegnie na ślepo, nie widzi nic, nie słyszy, ból zdrętwił nieszczęsną. Z rozwianym włosom, z rozszerzonymi oczyma, z zaciśniętymi kurczowo ustami, biegnie przed siebie, niema, bezwolna, beznadziejna...

Od świtu biegła niewstrzymana, ale o zmierzchu sił jej nie stało.

Oto kamień przy drodze... Matka zatacza się kuniemu i siada. Wtem, zbliża się do niej czarna, posępna, welonem osłonięta postać i rzecze:

— Co tobie, żeś taka blada, że tak straszny ból z rysów twych bije?

— Biednam ja, biedna, dziecko mi porwano! — jęła nieszczęśliwa: — ale ktoś ty, o pani, co mnie pytasz o to?

— Jam Noc, przede mną nic się nie ukryje. Wiem, kto dziecko ci porwał... Lecz wpiery ci nie powiem, zanim mi pieśni wszystkich nie wyśpiewasz, któreś śpiewała swojemu dzieciątku; zanim mi bólów wszystkich nie wypłaczesz, i całej trwogi twojej i tych niepokojów, którymi serce twoje drgało przy jego kołysce.

I matka poczęła zawodzić i płakać! Był to cały ocean łez, jęków i żalów. Tony matczyne rozlegały się w ciszy, jak dzwony.

Noc zimna, zdjęta dreszczem zgrozy, wobec tak wielkiej, tak niezmiętej miłości matczynej serca, wstrzymała matkę i rzecze:

— Przestań, dość tego! Okropną jest dola twoja! Śpiesz dalej! Do zielonego śpiesz gaju!...

O króla brzóz się zapytaj, a on ci powie, kto ci porwał twe dziecko!

I matka z radością, jaką nadzieja dać może, lotem najszybszego z ptaków sfrunęła tam, kędy jej drogę wskazano.

Zielony gaj ponętnie wabił ku sobie szmerem licznych ruczajów, świergotem ptasząt wesółych, brzękiem złotoskrzydłych owadów i szmerem liści lśniących, a kwieciami barwnymi suto przeplatanych.

Była to iście ziemia obiecana. Więc matka przyspieszyła kroku... Już jest na brzegu, już pierwszych krzewów dosięga, już ma się pytać o króla tego prześwietnego sadu, gdy nagle, jak pod czarów wpływem, wszystko zmienia się w jej oczach i gaj zielony przybiera postać lodyg rzadkich, ogolonych i mrózem ściśniętych kurczowo. Zimno dokoła. Wilki wyją, a groza śmierci wieje zewsząd straszna i nieubłagana.

Stała matka, załamała dłonie i jęła w najwyższej rozpacz:

— Ach, któż mi powie, gdzie jest dziecko moje?

— Ja, matko! — na to jej rzecze krzak cierniowy, przy którym właśnie stała nieboga — zdawna czekałem na ciebie; za wielkie grzechy skazany jestem na wieczne męki i cierpienia, ty jedna do życia wrócić mnie możesz. Przyłóż się do mnie, roz-

rań serce swoje moimi cierniami, rozkrwaw je do głębi, a za to wskażę ci drogę, której szukasz, matko!

I bez namysłu okradziona, nieszczęsna kobieta do ostrych cierni przypadła i tyle krwi z serca swego wylała, iż gaj zielony w ogniu stanął cały, że krzak cierniowy w ziemię się zapadł, a król brzóz wskrzeszony w swym majestacie ukląkł przed matką, kraj szaty ucałował jej kornie i rzekł z dobrocią:

— Dzięki ci, matko! Wielkość uczuć twoich bez granic jest zaiste! Śpiesz dalej. Śpiesz do królewnej jeziora — ona ci powie, kto ci porwał dziecko.

I niezmordowana poszła w dalszą drogę.

Idzie i idzie, ognią się rany jej serca, coraz słabszą, coraz nędzniejszą staje się kobieta, gdy oto fala jeziora błysnęła pośród drzew cienistych...

Najwyższym woli wysiłkiem, matka przyspieszyła kroku, staje nad wodą i pyta:

— Najmiłościwsza królowno! jeśli tu jesteś, powiedz, gdzie jest dziecko moje!

I na te słowa zakotłowały się fale i cudnie piękna bogini spłynęła na ich powierzchnię.

— Matko, czekam na ciebie: Jam tu zakłęta w te wody. Wiem, kto ci porwał twe dziecko, lecz życie moje od twych poświęceń zależy. Daj mi swe oczy, matko, a wtedy wskażę ci drogę do twego dzieciątka.

— Oczu mych pragniesz?

Nie zawahała się chwili. Przypadła do drzewa, odszczypała gałąź i wydobywszy jedno po drugim oba oczy, rzuca je falom jeziora...

— O ty ze szczytnych iście najszczytniejsza — na to królowna zawoła, do nóg jej padając — tyś się z największej ozdoby odarła, jaką Bóg darzy człowieka. Matko, dla swego dzieciątka tyś się wszystkiego pozbawiła w życiu! Tyś ślepa dzisiaj! I jakże trafisz po tej obcej drodze?

— Mam jeszcze serce, wprawdzie pokrwawione, ale ja czuję, że mi ono starczy do tej resztki drogi, jaka mnie czeka. Wskaż mi ją pani, a trafię.

— Idźże więc matko! Gdy tę puszcę miniesz, trafisz na wzgórze. Na tem wzgórzu stoi pałac Śmierci. Strzeże go wiedźma. Do niej zwrócisz się, matko, a ona ci powie, gdzie jest dziecko twoje.

Zanim wiedźma stara wpuściła matkę do pałacu Śmierci, wpiery ją odarła z jasnych, pięknych włosów, które zdobiły dotąd tę młodą, ślepa kobietę.

Chętnie swe włosy oddała matka zrozpaczona, byleby tylko stanąć tam, gdzie bezlitośny rabuś cieszył się z posiadania jej wielkiego skarbu.

Otóż jest matka przed obliczem śmierci... Suche, kościstej, nie widzi, lecz jej obecność przeczuwa.

— Oddaj mi dziecko! — ryknie takim głosem, że nerwy drgnęły, a z tronu swego Śmierć zbiegła co żywo i jakby z trwogą zawołała:

— Skoroć chcesz, matko, pójdzże do cieplarni. Tam twa dziecina w roślinkę zmieniona, wśród innych roślin wyrasta.

Poszły, a matka chyżo biegnie przodem; wpadła, do grządkki śpieszy, ledwie śmierć za nią podążyć zdoła.

— Oto jest, oto mój skarb, moje wszystko! — krzyknęła nagle z daleka.

Byłaby pewnie wyrwała z grzędy roślinkę, gdy Śmierć chwyciła ramię jej w kleszcze i rzecze:

— Matko, coś uczynić chciała? Tu jest kraina przeznaczeń. Tu drzewa rosną złego i dobrego. A wiesz-li co dziecku twojemu w przyszłości są.

dzono? Matko, bez granic jest twe poświęcenie, ale tu na tej grzędzie miliony istnień wyrasta. Miliony innych matek skłoniły głowę przed wolą Najwyższego Pana, i tobie więc, biedna kobieto, nic innego nie pozostaje uczynić...

Na te słowa opadły ręce nieszczęśliwej matki, ugięły się jej kolana, ręce do modłów złożyły, i tak pochylona, biedna, uległa, zasnęła na wieki w ciepłarni pałacu Śmierci.

Mamże wywnioskowywać morał z tej przepięknej bajki Andersona, duńskiego pisarza? Treść jej mówi sama za siebie. Jeżeli jednak przytaczam ją dziś, na tem miejscu, to czynię to dlatego, że dziś, bardziej, niż kiedykolwiek należy się matkom naszym przypomnienie tych wiekopomnych cnót i poświęceń, jakimi od najdawniejszych czasów jaśniały niewiasty u Zniczów, czyli ognisk rodzinnego życia.

I dzieci są jakby gorsze, jakby mniej podatne w swej przedwczesnej nieraz samodzielności; do kochania swojej rodzicielki, do zasięgania jej rad światłych, do zwierzania się jej ze swemi troskami, do uważania jej, słowem, za tarczę obronną wobec pokus życia, wobec napaści i krzywd wrogich, jakie tak często, niestety, trafiają się na ciernistej drodze walk doczesnych.

Matka, ten majestat rodziny dawniej, ta wielkość niedościgniona, staje się dziś coraz częściej sponiewieraną, a już co najmniej lekceważoną, jako zaśniedziałość, jako zacofanie... Dzieciom brak tej

miłości i czci, jaką dawniej otaczały swą życiodawczynię.

Na smutne to zjawisko baczna należy zwrócić uwagę. W rękę matek polskich spoczywa dźwignia narodu. Od nich zależy głównie przeciwstawienie sił moralnych tej materialnej przemocy, jaka co kroku czyha na całość naszą, na te tradycyjne cnoty, na tę myśl polską, która wiecznie i na każdym miejscu przyświecać dziatwie naszej winna.

Z pojęciem matki łączy się pojęcie rodziny polskiej, a z pojedynczych rodzin składa się naród. O tem matki polskie nigdy zapominać nie powinny, ani w chaosie uciech, ani w razie burz i przeciwności. Powagą swoją winny one odciągać z pod przepaści pokus te nieopatrzne pacholeta nasze, które niejedno, karmiąc strawą obłudy i podstęp, chwytają na złoconą wędkę obietnic, by je wynarodowić, by je od łańców ojczystych oderwać. Niech drobne dziatki matka sama uczy tego wszystkiego, co nasze, swojskie, rodzime, niech wpaja w nie, co kochać, a co odpychać, jako złe, należy, niech w oddaleniu nawet czuwa nad nimi i niech im będzie zawsze tą orlicą, o której wierszyk mój opiewa.

Wiem, ile matkom naszym naród zawdzięcza, wiem, jak się korzyć przed niemi należy, ale bólaż mnie te zgrzyty, jakie coraz częściej słyszeć się dają, i dlatego nie waham się powtórzyć raz jeszcze:

Matki! pamiętajcie, żeście Polkami i że na was przyszłość Ojczyzny spoczywa!



2)

## KRZEMIENIEC.

c. d.

Dr. Becu miał z pierwszego małżeństwa dwie córki Hersylję i Aleksandrę, panienki niezwykle urodziwe i serdecznie kochające swego przybranego braciszka.

W domu p. Becu bywała też często córka Jędrzeja Śniadeckiego, Ludwika, do której mały Juljusz czuł wielkie przywiązanie.

Wszystkie te trzy panienki wraz z matką rozpieszczały swego przybranego braciszka, uczyły go manier salonowych, trefiły mu bujne czarne włosy – słowem dostrajały go, jak mogły do wielkopańskiego tonu, który w domu ich wszechwładnie panował.

W r. 1819 Słowacki zostaje zaliczonym w poczet uczniów I klasy gimnazjum wileńskiego, gdzie dla niepospolitych swych zdolności i pilności zostaje celującym uczniem.

Ze swymi kolegami szkolnymi Słowacki nie zawierał bliższych stosunków, przysięgając dozgonną przyjaźń starszemu znacznie od siebie Ludwikowi Spitznaglowi „genjuszowi w zarodzie“ (Odyniec).

Spitznagl był młodzieńcem niezwykle utalentowanym, władał świetnie kilkoma językami: greckim, łacińskim, francuskim, włoskim, niemieckim i angielskim; czytywał epopeje bohaterkie, zachwycił się Byronem, Schillerem i Goethem i pod wpływem tego zaczął pisać różne utwory poetyckie, marząc o wielkiej swej przyszłości.

Dziesięcioletni Juljusz mając takiego przyjaciela

zatapia się w „Jerozolimie Wyzwolonej“ i również jak jego 14-letni kolega i druh serdeczny duma o sławie poetyckiej.

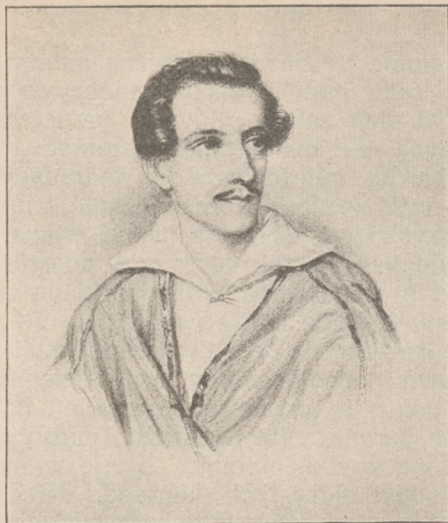
W domu doktorstwa Becu gromadziły się często na „herbatce“ najwybitniejsze osobistości wileńskie, jak: Adam Mickiewicz, A. E. Odyniec, Antoni Gorecki, Aleksander Chodźko, Karol Sienkiewicz i Juljan Korsak.

Na zebraniach tych bawiono się nadzwyczaj ochoczo; młodzież deklamowała, śpiewała, lecz niemniej zajmowano się też każdym wybitniejszym utworem poetyckim i omawiano go szczegółowo.

Wszystkiemu temu bacznie przypatrywał się młody Słowacki, który w wysokim stopniu odczuwał całe piękno poezji. To też po wyjściu z druku pierwszych utworów Mickiewicza, tak się przejął nimi, że umiał je prawie na pamięć.

I rósł tak Juljusz, aż do chwili, kiedy go już jako ucznia V klasy zastał słynny proces filaretów i straszne prześladowania Nowosilcowa. Sam kwiat młodzieży wileńskiej z Mickiewiczem, Czeczotem i Zanem na czele, został aresztowany i wtrącony do więzienia. W r. 1825 ogłoszono surowy wyrok w sprawie filaretów i w roku tym dnia 26 września rażony piorunem umiera ojczym Słowackiego.

Wkrótce potem, bo w tym samym jeszcze roku Juljusz Słowacki opuszcza mury gimnazjalne i wstępu-



Juljusz Słowacki.

je do uniwersytetu na wydział prawniczy, czego sobie życzyła jego matka, rokująca dla syna jaknajświetniejszą nadzieję.

W tym czasie przyjaciel jego Ludwik Spitznagl umiera nagle.

Śmierć ta wywiera wielkie i wstrząsające wrażenie na umysł młodzieńca.

Niezadługo p. Becu, po ciężkiej chorobie wyjeżdża do Krzemieńca, pozostawiając syna w Wilnie. Głównym

powodem jej wyjazdu były zaręczyny panny Hersylji z p. Teofilem Januszewskim, bratem Salomei Becu.

Słowacki pozostawiony sam sobie, bez matczynej opieki, staje się jakby inny „oddala się duchowo coraz bardziej od dotychczasowych powierników myśli i uczuć”; rodzinę swą, zwłaszcza matkę, kocha po dawnemu, spieszy „w jej objęcia z radością, ale całą duszy już przed nią nie otworzy”.

Słowacki czuje w sobie „świat wyższy, szlachetniejszy, niepodobny zupełnie do ekscentrycznych, ale pospolitych i płaskich upodobań rodziny”.

W r. 1827 odwiedza rodzinny Krzemieniec i stamtąd jedzie do Odesy.

Podróż ta wywiera na młodym poecie wielkie wrażenie.

W dwa lata potem Słowacki opuszcza Krzemieniec z tem przeczuciem, że już nigdy do niego nie powróci.

W Warszawie zostaje urzędnikiem w „Komisji Skarbu”, ale tego rodzaju zajęcie zupełnie nie odpowiadało jego chęciom i pragnieniom, a uczynił to dlatego, że wymagała tego matka, którą kochał nadewszystko.

W wolnych chwilach Juljusz z całym zapalem pisze powieści poetyckie: „Hugo”, „Mnich”, „Arab” i „Jan Bielecki”, oraz tragedje: „Mindowe” i „Marja Stuart”.

## NIGDY!!!

8)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

— A, dobrze, że się spotykamy, mam ci coś powiedzieć — począł Napoleon, jak gdyby rozeszli się wczoraj w najzwyczajszych w świecie warunkach.

Książę Józef wyprostował się na siedzeniu i chciał powstać.

— Leż, cóż to, rana? — zapytał Napoleon, wskazując na wyciągniętą nogę.

— Zwichnięcie.

— Ochroniaj ją, wylecz, będzie ci wkrótce potrzebna.

I nie dając ks. Józefowi przyjść do słowa, mówił dalej:

— Z wiosną rozpoczniemy wojnę i zwyciężymy.

— Nadziei waszych nie zawiedziemy, nie jesteśmy pokonani, odjeżdżamy, bo tak wypada z naszych planów.

— J'aurai de nouveau le diable au corp. \*).

— Ty znami!

— Do ostatniego tchnienia! — odrzekł książę przykładając rękę do serca.

— Au revoir! — zawołał Napoleon.

Zeskoczył ze stopnia, zatrzasnął drzwiczki i tym samym ruchem, jakim wstrzymał konie, rozkazał teraz, żeby ruszono. \*\*)

Książę oszołomiony był tem nagłym zjawieniem się władcy.

— Sądziłem, że jest już blisko granicy Francji, a ten... — pomyślał książę.

I wyrzwał za odchodzącym.

Ten, jak gdyby nie dźwigał na sobie ciężkiej szuby, a przedewszystkiem zawistnego losu, szedł szybko po gołoledzi podpierając się kijem.

Doszedł tak do oczekujących go prostych sani, zamienił z towarzyszącym mu od samych Smorgoni, gotowym na każde skinienie pułkownikiem Wąsowiczem i jakby wyčerpał całą swą siłę i energję, z trudno-

\*) Można tłum. Wojna znów we mnie wstąpił (Ulubione wyrażenie Napoleona).

\*\*) Rozmowę tę powtarzają w wielu pamiętnikach.

ścią, wdrapał się na swój przygodny ekwipaż.

Wąsowicz wskoczył na kozioł, rzucił kilka słów woźnicy, sanie pomknęły cicho po zmarzniętym, nie ujeżdżonym śniegu, za nimi dwoje sani jeszcze mniej okazałych.

Pomknęły zaś zupełnie w inną stronę, nie w tę w którą podążał książę.

— Dokąd on zmierza? Przecież to już cztery dni, jak przejeżdżał przez Wilno? Jaką drogę myśli obrać? — zadawał sobie książę pytanie.

Na to pytanie jednak nie odpowiedział mu nawet świst wiatru.

Uciszyło się bowiem zupełnie.

Niebo wyiskrzzone, czerwone, zapowiadało bliski zachód słońca.

Było bardzo mroźnie lecz spokojnie.

— Czwarty grudnia, według przepowiedni: „ś-ta Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie“ — mruknął do siebie książę.

I uśmiechnął się, jakby mu przypomnienie nadchodzących świąt, nasunęło jakąś myśl weselszą.

Wrócił jednak znów myślą do spotkania.

— Miał podobno jechać przez Prusy, a skręcił ku północo-zachodowi, zapewne doniesiono mu, że tam droga bezpieczniejsza.

Rozeszły się na ten raz drogi nasze, ja pojedę prostym traktem na Grodno do Warszawy.

Na wspomnienie Warszawy znów się uśmiechnął.

## V.

### W DRODZE.

Nie dziw wszakże, że Napoleon wyjechawszy o kilka dni wcześniej z okolic Wilna spotkał się z księciem Józefem, który dopiero od dziesięciu godzin miasto to opuścił.

Cesarz bowiem wybierał drogi najmniej uczęszczane, uboczne.

Zatrzymywał się w kilku domach na wsi zapadłej, pod zmienionem nazwiskiem, kołował, okrążał, ażeby nie spotkać się z wojskami rosyjskimi i pogonią za nim wysłaną!

Garstka wiernych mu wiarusów, wśród których najwięcej było Polaków, starała się

zawsze pierwiej zbadać drogę, nim posunęły się nią sanie uciekającego.

A posuwać się musiały ostrożnie, mimo dwudziesto stopniowego mrozu, który przejmował do szpiku kości, a okrywające podróżnych olbrzymie futra niedostateczne były do zabezpieczenia od srogiego zimna.

Trudno było wprost oddychać, a każde otworzenie ust wprowadzało do płuc tyle chłodu, iż zdawało się, że je sparaliżuje.

Napoleon jednak, mimo ciężkich bólów wewnętrznych, znosił ów chłód z jakimś wewnętrznem zacięciem wynikającym z jego energii i niezwykle silnej woli.

W dniu onego spotkania mróz nie był tak silny, wszyscy więc łatwiej oddychali.

Nie pojechano jednak drogą, którą sunęła karetka ks. Józefa.

Skręcono znów ku Kownu.

Po przekonaniu się, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi, jechano już śmieiej.

Dojechano tak szóstego grudnia do Marjampola.

Wszyscy byli tak znużeni, iż trzeba było parę godzin wypocząć.

— Diable m'emporte! — zawołał Napoleon, tamując jakiś ból wewnętrzny.

— Musimy się tu posilić!

I nie czekając kroczył wprost na pocztę, przed którą zatrzymały się sanie.

Naczelnik poczty Mikulicz, otrzymawszy poprzednio rozkaz, ażeby konie były gotowe, domyślił się przejazdu znakomitych osób.

Domyślał się może nawet samego Napoleona, dla którego mimo nieszczęśliwej porażki żywił cześć bałwochwalczą, jak i bardzo wielu Polaków.

Oczekiwał z bijącym sercem.

Teraz, gdy ujrzał przenikliwe spojrzenie władcy z pod nasuniętej na czoło futrzanej czapy, był już prawie pewny, jakie go szczęście spotyka.

O mało nie padł na kolana.

Powstrzymał się jednak.

Zapraszał tylko drżącym ze wruszenia głosem:

— Racście panowie przyjąć skromny posiłek.

— A kąpiel jest? — spytał Napoleon.



Krajobraz polski.

STANISŁAW BĘŁZA

## NAD ŻŁOTYM ROGIEM

Podjeżdżam powoli ku Tophane, po Tophane ku Galacie, mam przed sobą Perę, Sztambuł, poza sobą Skutari. Jak z poza mgły, wielkie mrowisko ludzkie wyłania mi się w kształtach kolosu.

Dookoła otoczony jestem górami; gdzie okiem rzucę, widzę las minaretów, czarne cyprysy na cmentarzach przybrzeżnych witają mnie ponurym jakimś szepceniem; fale Żłotego Rogu i morza Marmara nucą mi jakąś nieznaną, łzawą pieśń.

Wspaniały grodzie Konstantyna, najcenniejszy klejnocie w djademie padyszacha, raju prawowiernych czcicieli proroka, zroszony krwią obficie, uroczy zakątku ziemi, Bizancjum, Konstantynopolu, Carogrodzie Stambule — bądź pozdrowiony!

### II.

Z przeszłości Konstantynopola. — Boski jego początek. — Miłość i krew przy jego kolebce. — Kto szerzył w nim zniszczenie i pożogi? — Miasto ruin bez ruin. — Stolica Padyszachów. — Konstantynopol od strony morza. — Sztambuł. — Galata i Pera. — Skutari.

„Szczęśliwe te miasta — powiada Méry — których nazwami, zaledwie zaznaczonemi na mapach świata, gardzą dziejopisarze“.

I uzasadnia to swoje twierdzenie w ten sposób:

„Niedola ludów jest chwałą ruin, a groby, zbyt często nawiedzane, świadczą tylko o męczeństwie, których śmiertelne szczątki w sobie zawierają“.

Gdzie więcej grobów, więcej niedoli, więcej krwi, niż tu, w tym Konstantynopolu, którego, majestatyczna panorama przed chwilą właśnie ukazała mi się w nierównanej swej wspaniałości?

Spoglądam na karty dziejów tego grodu, i przypominam sobie całą jego straszną przeszłość. Przypomnijmy ją sobie wszyscy razem, a wszyscy niezawodnie jednoznacznie przyznamy, że twierdzenie pisarza francuskiego zawiera w sobie dużo prawdy.

Tylko, że ta prawda, jak wiele niestety prawd życiowych, zaiste jest bardzo smutną, tylko że nas poucza, iż to jeno oszczędza niszcząca siła człowieka, co zdala od słonecznych blasków, ukryte w cieniu, nie zwraca na siebie jego uwagi, nie pobudza nienasyconej jego pożądlivosti.

A Konstantynopol pożądlivość tę pobudzał, i kto wie, czy pobudzać jej nie będzie zawsze. Zaledwie też wzniesiony został nad brzegami tych wód, stał się przedmiotem gorących zabiegów wszystkich niemal ludów świata, areną ich morderczych walk.

Powijaki jego, że wyrazimy się figurycznie, zroszone są obficie łzami, a kolebka broczy we krwi...

Założył go Byzas.

Ten Byzas był istotą nadziemską, przez pół bogiem, przez pół człowiekiem, ojcem jego miał być podobno Neptun, a matką najpiękniejsza z cór tej ziemi.

Otóż kiedy, goniąc za wrażeniami po świecie, przybył w to miejsce, uderzony wspaniałem położe-



niem, postanowił w nim pozostać. Jakoż pozostał, i przy pomocy swojego ojca i Apollina zbudował tu gród.

Ale nie przyszło mu to bez trudu.

Te niezrównanego uroku wybrzeża zamieszkiwał lud nieznan, dość wielki i potężny przecież, aby je bronić przed najazdem. Więc może zamiary jego spełzłyby, jak wiele innych, na niczem, gdyby nie pomoc nie z tego świata. Neptun z Apollinem wzięli się jednak na Olimpie za ręce, i miasto stanęło. To, czego człowiek zrobić sam nie mógł, zrobiło bóstwo.

Byzancjum stanęło, nieśmiertelni przecież bogowie musieli do tego człowiekowi dopomóc. I jacy jeszcze bogowie! Neptun i Apollo, to jest: bóg mórz i bóg światła, harmonji i piękna.

Co w tem — pytam — dziwnego, że miasto, dwom takim bogom początek zawdzięczające,

jest perłą mórz, i z miast wszystkich na całym świecie wyróżnia się harmonją i pięknem?

Oto legenda narodzin dzisiejszego Konstantynopola, legenda pełna cudowności. Mówi ona przecież i o ziemskich rzeczach, tylko je przystraja, jak wszystkie fantastyczne legendy, w szaty romantyczności i poezji.

Ten Byzas, przybywszy na te wybrzeża, zoczył córkę jednego z miejscowych władców.

Dziewczyna piękną była, nic więc dziwnego, że rozżarzyła płomień w sercu młodzieńca.

Nie mogąc jej pozyskać w inny sposób, postanowił ją porwać.

I skutecznił za jej zgodą swój zamiar.

Ale bogowie nie sprzyjali temu związkowi. Stary król występłą córkę przeklął, Byzas wkrótce potem odwrócił od niej z nienawiścią swoje serce, i nieszczęsna dziewczyna, opuszczona i przez ojca, i przez narzeczonego, postanowiła przeciąć nić swego życia, w grobie szukać spoczynku i ukojenia...

Miłość ku najeźdźcy własnego kraju przyniosła jej zasłużoną karę i poucza wszystkie dziewczyny na całym świecie, że ścisłej krytyce i kontroli poddawać powinny uderzenia własnych serc.

Jak widzimy więc, początek tego miasta jest niezwykajny: na zorzę jego powstania składają się świetlane blaski: boskości i miłości, u jego progów słyszemy głosy rozpacz i przekleństwa. Najpiękniejszy z bogów zrodził je najpiękniejszym ze wszystkiego, na

co oko ludzkie spogląda, ale człowiek wzniosł, niestety, natychmiast do niego swoje niskie żądze i marne niechęci.

Usłał tu sobie miłości gniazdo, dozwolił przecież wpełznąć do niego węzom zdrady i nienawiści.

I nienawiści też czarna nitka odtąd wyraźniej niż gdzieindziej snuje się złowróźnie w uroczym miejscu, gdzie natura zdała się wysilać na to, aby człowiekowi nucić wiecznie pieśń spokoju i miłości...

Szukamy w Konstantynopolu śladów tej nienawiści ludzkiej, i znajdujemy rzeczywiście okropne. Wojny, pożogi i zniszczenia, od jego zarania są tu na porządku dziennym, i przez kilkaset lat cała ludzkość wysila się na to, aby na tym wspaniałym przylądku ziemi, na ruinach piętrzyć ruiny.

I niema zaiste miasta na świecie, któreby wytrzymało więcej oblężeń i szturmów, niema morza, któreby czę-

ściej niż Bosfor i Złoty Róg, czerwieniło się od krwi. Kiedy się wspomni o tem, że niejednokrotnie najeżdżali to miasto grecy, imperatorzy rzymscy, arabowie, ottomani, bułgarowie, że wytrzymało ono przeszło dwadzieścia oblężeń, że po każdym takim oblężeniu na kilka mil rozciągająca się dokoła okolica przedstawiała obraz pustyni; to doprawdy wyjść nie można ze zdumienia, iż gród, na którego istnienie sprzysięgło się tyle czarnych i złowróznych potęg, nie niszczał i nie zanikł zupełnie, i doprawdy wierzyć się chce w to, że legenda o jego nadziemskim początku nie jest baśnią. Ale wierząc w to, doznaje się jednocześnie i uczucia zadowolenia, że żądzę zniszczenia i nienawiści kielznąją wyższe od naszej woła i siła, że są widoczne w dziejach żelazne barjery, o które ze wstydem rozbija się złość ludzka.

Z tych szturmów i oblężeń Konstantynopola dwa zasługują na szczególniejszą uwagę, i gdyby zdanie powyższe nie było prawdą, z pewnością nie byłoby dziś Konstantynopola na mapie Europy.

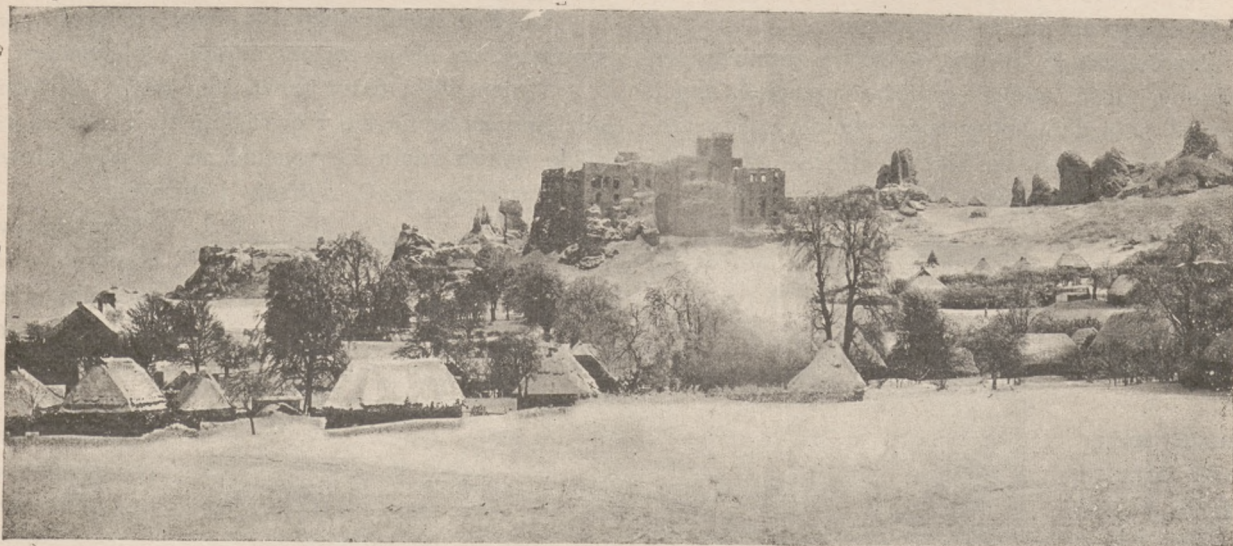
O pierwszym opowiada nam Djon Kassjusz o drugich Gibbon.

d. c. n.



Konstantynopol od strony Bosforu.

## Ruiny zamku w Ogródzieńcu.



Ogólny widok Ogródzieńca.

W ziemi kieleckiej, w powiecie olkuskim istnieje ubogie miasteczko Ogródzieniec, którego ludność trudni się mularstwem.

Miasteczko to, posiadające kościół parafjalny i szkołę, niczem nie zaznaczyło się w historii naszego kraju, ale leży u stóp pięknego niegdyś zamku, z którego na rycinie widzimy dotąd istniejące ruiny, co przetrwały kilka wieków i pamiętają niejedną klęskę, jaka spadła na praojców naszych. O historii tych ruin pragnę też coś powiedzieć, by z nimi bliżej zapoznać tych czytelników naszych, którzy podczas letnich wycieczek zajrzą w tamte strony i naocznie przekonać się zechcą jakich to potężnych murów trzeba było niegdyś w Polsce dla zabezpieczenia swego życia i mienia przed najeźdźcami, po bogate łupy do nas ze wschodu, północy i południa napierającymi.

Podjeżdżając do ruin, zdala widzimy wśród skał najeżonych, jak olbrzymi sterczących, ruiny imponującego zamku, wznoszącego się na 1400 stóp nad poziomem morza.

Przyjrawszy się dokładniej zbliska, dostrzegamy, że całość przedstawia się jako rozległa budowla; obok zamku — dziedziniec, około 10 morgów przestrzeni mający. Mury do 15 łokci wysokości w niektórych miejscach dochodzące, przerywane w wielu miejscach

zrębami skał, wtłoczonych w niego, aby w wzajemnym uścisku tem silniejszą stanowić warownię.

W zachodniej stronie płaszczyzny stoi zamek właściwy. Z dwóch boków ma on dość regularne kształty, ale od strony dziedzińca łamie się w fantastyczne zakręty, stosownie do załamującej się opoki, na której go zbudowano.

Brama wjazdowa niska i wązka tuż obok baszty, a nad bramą widzimy ślady tablicy marmurowej z wyrytym na niej napisem, niegdyś grubo złożonym. Dziś napisu przeczytać niepodobna. Zniszczyła go wraz z tablicą ręka człowieka, który pamiątki uszanować nie umiał.

Oprócz baszty przy bramie, są jeszcze dwie inne, a jedna nawet wcale nieźle dotąd zachowana.

Dzieje tego olbrzyma są krótkie.

Długosz zaznacza, że miasteczko Ogródzieniec, wraz z przyległymi dobrami było od niepamiętanych czasów gniazdem rodziny Włodków, w któ-



Ruiny zamku w Ogródzieńcu.

rych posiadaniu znajdowało się jeszcze około r. 1384.

W sto lat później Ogródzieniec przeszedł w ręce Salamonowiczów, później Pileckich, od których nabyli dobra te Bonarowie, a syn ich Seweryn Bonar, kasztelan sandecki postanowił uwiecznić swe imię i on to założył fundamenty pod zamek, jakiego ruiny oglądamy. Budowa tego olbrzyma trwała lat 20, a uroczyste

przyjęcie gości w nowej siedzibie Bonarów odbyło się w r. 1540.

Niedługo jednak Bonar na zamku przebywał, bo oto już około r. 1560 widzimy zamek w posiadaniu Jana Firleja, a następnie Warszyckich, Macińskich i wreszcie Jakielskich.

Ci ostatni posiadacze nie dbali o zachowanie monumentalnej pamiątki po Bonarach, więc zamek zaczął pustoszeć. Gdy wreszcie zamek dostał się w ręce Miroszewskich, którzy zamieszkiwać w nim nie chcieli, padł on pastwą chciwości ludu okolicznego, który zwolna rozbierał mury, na materiał do własnych budowli.

Dziś więc ten olbrzym, chociaż imponuje swoim ogromem, jest tylko szkieletem, świadczącym o wielkiej przeszłości przodków naszych i o znikomości dzieł ludzkich, nad którymi prędzej czy później duch niszczenia rozpostrze swe skrzydła i w popiół zamieni.

My jednak zawsze z szacunkiem na te pamiątki spoglądajmy, bo one nam mówią o tem w jaki sposób praojcowie nasi starali się obronić ukochany szmat ziemi ojczystej od wrogów i stanowią wiekopomny dowód, że ziemia ta od wieków osiadła była przez polskie plemię.

L. V. J.

## Jak Janek i Marylka spędzili wakacje.\*)

### VIII. U KUŚNIERZA.

— Olaboga, proszę pani, w komórce gdzie futro schowane pełno moli!

Ze złowrogim tym okrzykiem wpadła do pokoju służąca.

Wiadomo, że mole są zdeklarowanymi nieprzyjaciołmi wszelkich futer; wiadomo też, że futra są rzeczą kosztowną; nikomu więc ten okrzyk nie zrobił przyjemności, a już najbardziej zmartwiła się matka Janek i Marylki. Nie zwlekając pobiegła zaraz do komórki i po chwili powróciła z miną zmartwioną.

Kachna ma rację! W komórce rzeczywiście są mole i gotowe nam futra zupełnie poniszczyć!

— Trzeba zaradzić złemu zawczasu! — doradzał wuj Olek — każ futra wyjąć, przetrzepać i odeślij do kuśnierza, a ten przechowa je doskonale do zimy.

— Ha, zdaje się, że innej rady niema! Jeżeli znajdziesz chwilkę czasu bądź łaskaw tem się zająć, dam ci Kachnę, aby futra za tobą odniosła.

— I my i my pójdziemy!

— Zgoda!

Po obiedzie kroczyli wszyscy do kuśnierza.

Przodem wuj Olek z Jankiem i Marylką, za nimi Kachna objuczona futrami i pocąca się tak serdecznie, że w spływającym z jej czoła pocie mogłyby się śmiało wszystkie mole potopić.

Wuj Olek gawędził jak zawsze, a dzieci słuchały go z zaciekawieniem.

— Każde rzemiosło starało się przedewszystkiem o błogosławieństwo Boże i wybierało sobie zawsze, któregoś ze Świętych na swego patrona i protektora. Kuśnierze obrali sobie protektorem takim Ezawa, ponieważ był on, jak biblja powiada obficie porosły włosem. Właściwymi kuśnierzami byli pierwsi myśliwi. Zabiwszy lwa, tygrysa lub inne jakieś niebezpieczne zwierzę, radzi byli pochwalić się swem zwycięstwem i z dumą stroili się w skóry pomordowanych zwierząt. Jeżeli z jakichś powodów skóry przywdziać nic mogli, zdobili się kłami i pazurami upolowanej bestji. Im

lepszy był myśliwy tem cenniejsze miał futro i tego rodzaju ozdoby. Ozdoby te później zaczęli przywdziwać wodzowie i książęta jako oznakę swej godności; a gdy zaczęto ze skóry szyć futra, były takie, które mogli nosić tylko uprzywilejowani i najgodniejsi ludzie. Do futer takich należały naprzykład sobole. W krajach zimniejszych, jak u nas, futra stają się prawdziwą koniecznością i w zimie mają kuśnierze żniwa. Cieszą się też serdecznie gdy zima jest ostra i panują tęgie mrozy.

Ponieważ do kuśnierza było niedaleko, wkrótce cała gromadka zatrzymała się przed jego oknem wystawowem. Okno to, to była menażerja na małą skalę. Widać tam było różne powypychane zwierzątka, które bez własnej woli dostarczały ludziom skór swych na zimowe okrycia.

— Tam na górze widzicie małpkę bezogoniastą. Jest ona pokryta długim włosem i skóry takich używa się na muffki. Pomiędzy małpami niewiele jednak jest na ogół takich z których by kuśnierz miał pościechę!

Około małpy widać było w oknie wiewiórkę siwą i popielatą. Dwa te rodzaje wiewiórek dostarczają cennych skór na futerka, ale żadna z tych wiewiórek nie żyje w naszym kraju.

Sama Rosja dostarczała w swoim czasie 20 milionów skór wiewiórczych a Ameryka jeszcze więcej. Skórki takie z grzbietów to są sławne popielice, poszukiwane i dobrze płacone. Skórki wiewiórcze z brzucha mają już mniejszą wartość. Tam koło wiewiórek syberyjskich macie kunę leśną tumaka; dalej siedzi poważnie dziki kot, dostarcza on dobrych skór na futra i nie bardzo drogich.

— Ciekawym czy dało by się też i z naszych domowych kotów sporządzić jakie futerko?

— Dłaczego nie! Robią futerka i z kotów domowych; futerka takie są tanie. Szczególniej na futerka poszukiwane są koty czarne. Skórki takie sprowadzano z Holandji, gdzie umyślnie w tym celu chowają czarne koty.

Józef Ciembroniewicz.

d. c. n.

\*) Po dłuższej przerwie rozpoczynamy znowu druk tego interesującego opowiadania.

# Męczennicy w imię nauki.

W czerwcu 1910 roku z portu Cardiff, na okręcie „Terra Nova“, wyruszyła w podróż do bieguna południowego angielska ekspedycja naukowa pod kierunkiem 45 letniego kapitana Roberta Scotta.

Przez długi czas nadchodziły z podbiegunowych krain do Anglii wiadomości o losach wyprawy, lecz od 3 stycznia 1912 roku nagle ustały.

Angielskie koła naukowe, zaniepokojone, zorganizowały ratowniczą ekspedycję pod dowództwem d-ra Atkinsona, która jednak nie osiągnęła rezultatu, nie mogąc odnaleźć zaginionych podróżników. Drugiej dopiero wyprawie, pod kierunkiem Wright'a, udało się w dniu 12 listopada 1912 r. dotrzeć do zasypanego śniegiem namiotu Scotta.



Kapitan Robert Falcon Scott.

Po odgarnięciu śniegu poszukującym przedstawił się okropny widok. Znalaziono zamrożone zwłoki kierownika wyprawy Scotta, a obok niego leżące trupy d-ra Wilsona i porucznika Bowersa. Zwłok rotmistrza Oatersa nie można było odszukać, zginął również poprzednio, wskutek upadku z lodowca, podoficer wyprawy, Edgar Evans.

Wyprawa ratownicza znalazła przy nieszczęśliwych ofiarach wiele cennych dokumentów i notatek, z których okazuje się, że gdy Scott z towarzyszami dotarł w dniu 18 stycznia 1912 roku do bieguna południowego, zastał tam już zatknięty sztandar norweski i dokumenty, pozostawione przez odkrywcę bieguna, Amundsen, który obecnie wyrusza na pięcioletnią wyprawę do bieguna północnego.

W powrotnej drodze wyprawę Scotta spotkały okrutne mrozy, dochodzące do 70<sup>o</sup> Cels., i śnieżne za-



Kapitan Scott znajduję flagę Amundsena.

miecie, poczęło brakować środków żywności i opałów i wkrótce śmiałym podróżnikom zajrzała w oczy śmierć z głodu i zimna.

Nie rozpaczali jednakże. Wiedzieli, że ratunku dla nich niema, lecz wiedzieli również, że namiot ich będzie znaleziony, notowali więc wyniki swoich badań, dopóki kostniejące ręce mogły utrzymać pióro.

Ostatnie słowa dziennika podróży Scotta budzą podziw rezygnacją i spokojem, z jakim wyprawa oczekiwiała niechybnej śmierci. Brzmią one:

„Jesteśmy do ostatka wyczerpani. Pisanie jest straszliwie męczące. Poddajemy się wyrokowi Opatrzności. Nie tracimy nadziei, że ojczyzna nasza nie pozostawi w nędzy naszych rodzin. Robert Scott, kapitan marynarki królewskiej, 25 marca 1912 roku“.

Takich bohaterów posiada Anglja. Tak zginęli męczennicy w imię nauki.



„Terra-Nova“ okręt wyprawy kapitana Scotta.

# Tajemnica starego zamczyska.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW, PRZEZ AD. KONECZNĄ.

Janusz kiedykolwiek ujrzał Halinę, jak urzeczony oczu od niej oderwać nie mógł.

Widywali się z sobą tylko w obecności osób starszych, rozmawiali tylko o przedmiotach obojętnych, pomimo to jednak jakże się już wzajemnie odgadli! jak się wybornie rozumieli! jak głębokie znaczenie miało nieraz dla nich parę słów, błahych na pozór i nic nie znaczących.

Drżeli też aby starsi nie odgadli tajemnicy ich serc niewinnych, ale zawsze posępny i zamyślony pułkownik, pobożna i zawsze zajęta pani Barbara, scho-rzały rotmistrz, nie zdawali się nawet domyślać, że w tej komnacie, do której ich starość wносиła codzien-nie swe smutki, swe wspomnienia i tęsknoty, rozkwitła dla Janusza i Haliny jakaś cudowna, niebiańska wio-sna, pełna czarodziejskich, im tylko dwojgu widzialnych kwiatów, rozśpiewana słowiczemi pieśniami miłości, oró-żowiona zorzą pierwszego uczucia co wschodziło w ich młode serca, jak wschodzi promienne słońce maju...

Jeden tylko major spoglądał na nich niekiedy ze znaczącym półśmiechem, ciągnąc zwolna szklanke starego miodu i podkręcając białe swe wąsy, lecz jego dobry uśmiech i spojrzenie zdawały się mówić:

— Widzę, ale nie mam nic przeciw temu.

## VI.

Nadeszła jesień, piękna nasza jesień z jasno sza-firowem niebem, z mnóstwem różowo-złotych jabłek na jabłoniach, z nocnymi perłami szronu na zielonych jeszcze trawnikach, nadeszła i pozbierała kopy zbóż ze złocących się ściernią łąnów, nadeszła i przystroić gaje w perły orzechów, w korale kalin, jarzębin i głógów, pomalowała liście drzew, rzucając pomiędzy zie-loność barwę czerwoną i żółtą. Od jeziora, od rzeki i moczarów, poczęły co poranku powstawać białe mgły, otaczając pnie drzew i zarośla.

Właśnie jeden taki piękny dzień jesienny był się skoń-czył. Pułkownik wraz z dwoma towarzyszami broni, Januszem i dworskimi kozakami tylko co z łowów powrócił, pani Barbara krzątała się z kluczykami w ja-dalni gdzie miano podawać spóźniony obiad dla my-sliwych, gdy Halinę zawołała Olanka.

— Pannusiu, pannusiu! proszę no pójść ze mną popatrzeć! Pannusia nie wierzy, ot, teraz się prze-kona!

Halina wyszła i obie pobiegły ścieżką przez ogród w stronę zamczyska.

— Cóż tam nowego? — pytała, Halina.

— A, duch jakiś biały nad wieżą lata!

— Duch? Śni ci się chyba!

— Ot zaraz pannusia obaczy!

Zadzyszane obie dobiegły do ogrodzenia i stanę-ły naprzeciw zamku, nad wieżą którego unosił się bia-ły obłoczek.

— To dym! — zawołała Halina — widzę najwy-raźniej! Tam widocznie ktoś mieszkać musi!

— Ale, ktoby tam mieszkał! Mówię pannusi to dusza pokutująca, to wcale nie dym! Tam się nikt mieszkać nie ośmieli...

— A może właśnie w tych ruinach obrali sobie przytułek rabusie jacyś! Dobrze zrobiłam że tam wię-ciej nie poszłam! Jak to zawsze potrzeba starszych słuchać! Niedarmo major i ciotuchna przestrzegali.

— O! a teraz znów światelko! Widzi pannusia!

— Widzę! Jak to dobrze, że u moich stryjciów są samopały i szable! Rabusie choć tak blisko nie napadną na dwór! „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi“ mówi przysłowie.

Światelko zgasło.

Halinka z Olanką stały jeszcze chwilę i powróciły do dworu, ale nie na tem skończyły się nowiny. Na-zajutrz w porze poobiedniej, Olanka zarumieniona i ożywiona przybiegła znów do Haliny.

— Pannusiu! moja pannusiu! — wołała jeszcze od progu — co za dziw się stał! Ten kozak, co po-szedłszy do zamku gdzieś przepadł, powrócił!

Halina, która siedząc przy krosnach haftowała, podniosła głowę.

— A widzisz, Olanko! Mówiłam ci, że żyje i że gdzieś uciekł! Toż będą się starzy na niego gniew-wali!...

— Ale gdzie tam, pannusiu, pan major to tak go serdecznie jak jakiego krewnego powitał i zaraz do dziedzica zaprowadził; co oni tam z sobą mówili nikt nie wie, ale jak od dziedzica wyszli, zaraz pan major kazał mu podać jeść i to z pańskiej spiżarni, sta-rego też miodu mu dali, zamówili mu nową odzież, czapkę i buty...

— Coby to być mogło? — pomyślała Halina — w tem kryje się jakaś tajemnica... — i zapytała Olankę:

— A jak też wygląda ten kozak i jak mu na imię?

— Imię? Stepan, a piękny, nieprzymierzając jak pan Janusz! Taki wysoki, taki zgrabny, a czarnobrewy; ot, jak pannusię kocham zaraz bym za niego poszła, gdyby przysłał mi swatów!

Halina roześmiała się.

— Ach ty w gorącej wodzie kąpana! Już i zamąż! przecież go zaledwie dziś zobaczyłaś?

— No i cóż, że dziś, pannusiu złota, kiedy z nas byłaby para, dobrana para! Czemu się ja nie śpieszę za starego kredencera Grzegorza? Bo to by było tak, nieprzymierzając, jakgdyby pannusia wzięła sobie za męża pana majora!... Śmiech nic więcej!... Ot panicz, pan Janusz to jakby umyślnie urodził się dla panienki!



Czy „Przyjaciółka“ gniewa się za milczenie?

Bądź spokojną *Leśna Trawko* za milczenie nie gniewam się nigdy, ale przyznaję, że wielką przyjemność sprawia mi stała korespondencja każdego z was, zwłaszcza, gdy widzę, że nie kończy się ona na zapisywaniu papieru, lecz wynikiem jej jest udoskonalanie charakteru i wyrabianie umysłu. Za śliczną kartę i obietnicę odwiedzenia mię dziękuję, czekając na jej spełnienie.

Dobrze zrozumiał to *Andrzej D.* który mówi, że usilnie będzie pracował nad sobą, aby pisząc do mnie, mógł w każdym liście wykazać postęp na drodze wiodącej do doskonałości.

Chwalebne bardzo dążenie twoje, cieszę się niem niezmiernie, a ponieważ pytasz mię od czego masz rozpocząć swój rozwój duchowy—radzę rozpocząć od stopniowego wyzbywania się złych skłonności. Przyznajesz się, naprzykład do zarozumiałości — opanuj ją przez zastanawianie się nad zasługami wielkich ludzi, młodszych, a nawet dzieci, których liczne przykłady na każdym niemal można spotkać kroku i porównaj ich czyny ze swymi, nie miej tylko w tem porównaniu żadnych względów dla siebie, a napewno będziesz musiał uznać swą niższość. To samo czyn z przymiotami umysłowymi i fizycznymi, zestawiaj je z zaletami innych, a przekonasz się, jak bardzo pozostajesz w tyle, za innymi i pokonasz tym sposobem zarozumiałość, która stanowczo nie zgadza się z doskonalaniem ducha, lecz przeciwnie, zaciemnia przed nim widnokrąg, zacieśnia ramy, pociągając do upadku; wszakże dla tej to przyczyny pycha uważana jest jako grzech główny i zgubiła pyszną część aniołów. Wymieniona przez ciebie lektura bardzo jest odpowiednia i pomocna w tym celu. Napisz mi, kto ci pomaga w wyborze książek.

Doprawdy *Śnieguło*, wdzięczna jestem dobrej twej siostrzyczce, że mi zjednała tak miłą korespondencję w twojej, sympatycznej osobce. Ale i tobie również jestem wdzięczną za serdeczne uczucia, jakimi darzysz mnie i moją córeczkę Halinkę, która patrząc na twą podobiznę pytała mnie: „Czy to aniołek w tym welonie i kwiatkach?“

O! bo naprawdę, dzień pierwszej Komunii św. to święta i anielska w życiu chwila, która często wpływa na całą przyszłość naszą. Ucieszyłaś mię dziecinko wiadomością, że zaczynasz kochać ten najważniejszy bodaj przedmiot nauki ludzkiej. Widzisz dziecko, gdyby wszyscy ludzie dokładnie znali naukę Bożą, gdyby naprawdę prawa Boże, prawa Ewangelii świętej ukochali—ziemia w raj by się zamieniła, gdyż panowałyby na niej miłość powszechna, zgoda i spokój. Uczmy się więc religii, Kochajmy Rogę i bliźnich!

Proście twej kochana *Śnieguło*, niestety, zadosyć uczynić nie mogą narazie, może kiedyś dopiero w przyszłości; tymczasem serdeczne uściśnienia ode mnie i Halinki niech nas obustronnie pocieszą.

Istotnie, *Młodości*, dziewczynka, o której mi piszesz, to mała bohaterka! podziwiam ją, szanuję i Kocham.

To też bądź dla niej dziewczeczko droga, czule Kochającą, starszą siostrą, przyjaciółką i pocieszycielką, niech w tobie i twej siostrzyczce *Śnieguło*, znajduje

osłodek w swem smutnem, ciężkiem życiu. Do nauki wszakże, jeszcze jej nie zaprzęgać, jeszcze dla niej zawczasem i szkodliwie może się to odbić na jej zdrowiu, tymbardziej, że jest wątła i przechodziła operację. Proszę bardzo, pisz mi o niej w każdym liście. Co do innych kwestji—bądź *Młodości* dobrej myśli i zwycięskiej wiary! „Zabłyśnie cudny, słoneczny promień“ tylko pracy i jedności

*Jadziuniu S.* aniołku ty mój słodki! znam cię już dobrze z opowiadania twej kuzynki i z kłiwością tułę do serca.

Zasmucił cię Bóg, zsyłając na twą mamusię chorobę, ale módl się i wierz tylko, a pociecha i zdrowie przyjdą. Pielęgnuj nadal swą mamę Kochaj ją i dobrą swą cioteczkę. Wiem, że ty godnie spełniasz swój obowiązek — niech tak będzie zawsze; zawsze staraj się być uśmiechnioną, wesołą, nawet laleczką baw się w pokoju mamusi, żeby widziała twój uśmiech i zadowolenie, bo to w części leczy.

Całuję cię droga dziecino serdecznie i opowiem o tobie mej malutkiej córeczce Halince.

Nie miałaś *Babulu* odwagi napisać do „Przyjaciółki“, czyż wydawała ci się ona taką straszną i złą?

No, ale teraz, kiedy pierwsze lody już przełamane, będziesz zwracała się do mnie często i z zaufaniem, prawda? Doskonale robisz, że łączysz naukę z rozwojem fizycznym, z gimnastyką, ślizgawką, bo: „W zdrowym ciele, zdrowa dusza“, a nam właśnie potrzeba ludzi nie tylko dzielnych i rozumnych, lecz i zdrowych.

Powiedz mi, Kochanko, jakie masz upodobania i ukochania, czem pragnęłabyś zostać w przyszłości i czy starasz się być dla swego otoczenia dobrą, uczynną i pogodną, jak słoneczny promień rozveselającą?

*Makolągwa* to Kochany i przemiły ptaszek, drugi już raz sprawia mi radość...

Pierwszy raz, to już temu dawno, kiedy byłam siedmioletnią dziewczynką, ocaliłam makolągwę przed napaścią psa i cieszyłam się widząc, jak po paru dniach odzyskała ona siły i pofrunęła do zielonego lasu.

A teraz znów *Makolągwa* sprawia mi drugą radość takim zajmującym liścikiem, który w dodatku jest zapowiedzią dalszej, również interesującej korespondencji nieprawdaz?

A wiesz, ptaszku, że ja z początku miałam zamiar obrażenia się, za posądzenie mię o niechęć wdawania się z ośmioletnimi osobami (wszakże ośm lat, to już poważna liczba!) tylko, niestety, zanadto cię odrazu polubiłam, żebym mogła skutecznie ów zamiar.

Ten twój *Mrozik*, to naprawdę ciekawy i wnioskuję, że podobny do *Filusia* mojej Halinki, której wiek cię interesuje; otóż Halinka nie ma jeszcze trzech latek, ale o wielu dziewczynkach i chłopcach ze „Skrzynki“ wie, zna ich imiona, fotografie i dopytuje się o nich.

Dobra jesteś dziewczuszko, że myślisz o sierotach i ubogich, że pragniesz dla nich ciepła i słońca, a jeszcze lepsza jesteś, że dobrze czynisz, ucząc nieumiejętnych; zapewne to przykład braciszka tak wpłynął na ciebie?

Powiadaj mi o postępach swej uczeniczki.

*Maciek B.*.. zagadki odgadł dobrze, ale wierszyki jego do druku się nie nadają.

Proszę cię, chłopcze, o zmianę pseudonimu, gdyż to *B.*.. (nie kończę go umyślnie) brzmi niezbyt mile.

*Przyjaciółka.*

PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA  
**NIETŁUKĄCYCH SIĘ LALEK**  
 JANA WODNIAKOWSKIEGO

w Warszawie, Leszno 100

POLECA WYROBY WŁASNE:

- LALKI najpraktyczniejsze skórzane i płócienne. LALKI z nietłukącymi się, pięknymi głowkami.  
 LALKI ubrane w wielkim wyborze. LALKI z peruczkami, z prawdziwych włosów, z imitacji lnu.  
 LALKI w narodowych kostjumach.

**NOWOŚĆ!! KONFEKCJA DLA LALEK W WIELKIM WYBORZE.**

Części zapasowe oraz farba, guma do reperacji.

**CENY FABRYCZNE**

**TANIO**

Uwaga! Kantor i sprzedaż detaliczna p. t. „RAJ DZIECIĘCY” Chmielna 26, telefon 217-46.



ZNANE ZE SWEJ DOBROCI

**OBUWIE DAMSKIE, MĘZKIE I DZIECIĘCE**

poleca w swych Magazynach

**Szewc Władysław Dobrzyński**

w Warszawie, Chmielna 18, tel. 187-80.

Złota 28, tel. 142-20.



**Ważne dla Młodzieży!**

Na fortepianie, skrzypcach, cytrze, gitarze i mandolinie, uczę gruntnie i tanio. Złota 26, m. 39.

**OD WYDAWNICTWA.**

„**WIEŚ i DWÓR**“ z dodatkami „**Sport**“ i „**Hodowla**“ wychodzi stale **dwa** razy miesięcznie w początkach i połowie każdego miesiąca przy współudziale licznego grona ziemian i współpracowników piór pierwszorzędných. Każdy zeszyt „Wsi i Dworu“ zawiera parę tysięcy wierszy druku i około **100** ilustracji i odbitek na papierze kredowym.

Tak więc Czytelnicy w ciągu roku otrzymają **24** zeszyty wykwiutnego wydania, w których, oprócz tekstu, znajdzie się około 2000 ilustracji z wszystkich dzielnic i ze wszystkich dziedzin wsi naszej.

Specjalne dodatki „Sport“ i „Hodowla“ dadzą w słowie i ilustracji obraz całokształtu hodowli krajowej i rozwoju życia sportowego.

**Warunki prenumeraty „WIEŚ i DWÓR“**

łącznie z dodatkami „Sport“ i „Hodowla“:

w Warszawie: rocznie . . . . .	rb. 10 kop. —	z przesyłką rocznie . . . . .	rb. 12 kop. —
półrocznie . . . . .	„ 5 „ —	pocztową: półrocznie . . . . .	„ 6 „ —
kwartalnie . . . . .	„ 2 „ 50	kwartalnie . . . . .	„ 3 „ —
zagranicą: rocznie . . . . .	rb. 14		
półrocznie . . . . .	„ 7		

Prenumeratę na „**Wieś i Dwór**“ przyjmują urzędy pocztowe, wszystkie księgarnie i biura w kraju i zagranicą i administracja „**Wsi i Dworu**“, **Marszałkowska 129, w Warszawie. Telefon 217-41.**

**CENY OGŁOSZEŃ:**

Przed tekstem: 1 strona	rb. 120	Po tekście: 1 strona	rb. 100
1/2 strony	„ 65	1/2 strony	„ 55
1/4 „	„ 35	1/4 „	„ 30
1/8 „	„ 20	1/8 „	„ 16
1/16 „	„ 10	1/16 „	„ 8

Okładka zewnętrzna tylko w całości 150 rb. Ogłoszenia na specjalnych miejscach o 25% drożej.

Wszelką korespondencję zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną prosimy adresować: Administracja „**WIEŚ i DWÓR**“ ul. Marszałkowska 129 (sto dwadzieścia dziewięć) w Warszawie.

Dla uniknięcia omyłek prosimy o dokładny adres.

REDAKTOR: **Tadeusz Jaroszyński.**

WYDAWCA **Bolesław Schoen.**

# „POLAK-KATOLIK“ NAJTAŃSZE CODZIENNE PISMO PORANNE,

WYBITNIE KATOLICKIE I ANTYSEMICKIE.

Radaktor i Wydawca **KSIĄDZ IGNACY KŁOPOTOWSKI.**

Organ szczerze i wybitnie katolicki narodowy, całkowicie niezależny, śmiało otwarcie porusza wszelkie sprawy polityczne, społeczne i ekonomiczne. Podając liczne wiadomości ze wszystkich dziedzin życia, szczególną wagę poświęca ruchowi katolickiemu, tudzież zawsze palącej kwestyi żydowskiej, usilny kładąc nacisk na rozbudzenie samodzielności i przedsiębiorczości najszerzych warstw społeczeństwa polskiego.

Niebywale niska cena, zarówno jak styl i język jasny, prosty a dla wszystkich zrozumiały, czyni z „POLAKA-KATOLIKA“ pismo codzienne, najodpowiedniejsze dla szerokich mas ludności miejskiej i wiejskiej.

**Warunki przedpłaty z przesyłką:** Rocznie 5 rb. półrocznie 2 rb. 50 kop.; kwartalnie 1 rb. 25 kop.; miesięcznie 35 kop.

Za odosłanie do domu dopłaca się miesięcznie 10 kop.

Za zmianę adresu 10 kop:

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Trębacka 11.**

# „POSIEW“ NAJTAŃSZE PISMO LUDOWE TYGODNIOWE

ORGAN WYBITNIE KATOLICKI I ANTYSEMICKI.

„Posiew“, redagowany stylem jasnym i zrozumiałym, jest przystępnym dla najszerzych warstw ludowych i pożądanym w każdym domu robotnika i chacie wieśniaka, jako tygodnik religijno-społeczny, wydawany w duchu ściśle katolicko-narodowym.

Radaktor i Wydawca **Ks. IGNACY KŁOPOTOWSKI.**

CENA PRENUMERATY:

Rocznie rb. 2.50, półrocznie rb. 1.30, kwartalnie kop. 70, miesięcznie kop. 25. — Numer pojedynczy kop. 6.

Zmiana adresu kop. 10.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Trebacka 11.**

# „Polski Przegląd Kupiecki“

jedyny organ polski, mający na celu omawianie wszelkich spraw, dotyczących naszego handlu i przemysłu.

Redaktor i wydawca:

**ALEKSANDER GRANKE.**

Wszyscy prenumeratorzy „Przeglądu“ otrzymują bez dopłaty dwutygodnik społeczny p. t. „Swój do swego“, a oprócz tego całoroczni prenumeratorzy otrzymują bezpłatnie, jedynie za zwrot kosztów przesyłki pocztowej, cenne premjum: sześć książek z dziedziny handlu wartości podług cen księgarskich około 5-ciu rubli.

Prenumerata łącznie z pismem „Swój do swego“ w Warszawie wynosi rb. 4.— na prowincji z przesyłką pocztową rb. 5.— Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Żórawia 35, tel. 77-21.**

*Numerary okazowe bezpłatnie.*

## „Swój do Swego“

Dwutygodnik społeczny i literacki, poświęcony zagadnieniom życia ekonomiczno-narodowego, wychodzi w Warszawie, ul. Żórawia 35, tel. 77-21. Przepłata roczna rb. 1 kop. 80 z przesyłką pocztową.

Redaktor i wydawca:

**ALEKSANDER GRANKE.**

*Numerary okazowe na żądanie bezpłatnie.*

Postępujcie w myśl wskazań naszych!

# ROCZNIKI „WIECZORÓW RODZINNYCH“ Z ROKU 1912

Nabywać można w księgarni „Polaka-Katolika“ Krakowskie-Przedmieście 64

w cenie bez oprawy **4 rb.**

w gustownej oprawie **5 rb.**

W Lublinie przedpłatę na

## „Wieczory Rodzinne“

przyjmuje księgarnia Religijna, Królewska № 8.